

Śniąc w kinie. Recenzja "Joy"

Data publikacji: 2.02.2016 12:20

Trzeba wziąć życie we własne ręce, nie poddawać się i wierzyć w swoje możliwości. Los się odmieni, jeśli walczymy. Czasem życie okłada nas na odlew, jeśli to przetrwamy, będziemy jeszcze silniejsi. To podstawowy przekaz filmu "Joy" w reż. Davida O. Russella. Recenzja tragikomedii opartej na życiu znanej w Stanach Zjednoczonych bizneswoman - Joy Mangano.

Można powiedzieć, że jej wynalazek jest rówieśnikiem naszej wolności. Swego magicznego mopa (Miracle Mop) wymyśliła bowiem w 1990 roku. Jednak jej droga na sam szczyt była trudna- w rok po stworzeniu swojego „opus magnum”, sprzedała jedynie paręset sztuk produktu. Zastawiła dom, pożyczyła pieniądze od rodziny i znajomych, ryzykując, że znajdzie się z trójką dzieci na bruku. Kiedy jednak w 1991 roku pojawiła się w telewizji, na popularnym kanale sprzedażowym, ludzie pokochali ją i jej wynalazki. Była szczerą i bezpośrednią. Widzowie kupili właśnie to – prawdę. Joy stworzyła imperium. Nazywana jest „królową mopów”, ale nie ma w tym nic obraźliwego – historia Joy urzeczywistnia bowiem bardzo amerykański mit self-made-man'a lub - inaczej mówiąc - mit „od pucybuta do milionera”.

Film **Davida O. Russella** (*Poradnik Pozytywnego Myślenia*, 2012) opowiada historie wzlotów i upadków Joy Mangano (**Jennifer Lawrence** – nominowana do Oscara za tę rolę). Widz poznaje ją w chwili jednego z "zakrętów losu" – z trójką dzieci, z byłym mężem niespełnionym śpiewakiem (**Édgar Ramírez**) mieszkającym od paru lat w piwnicy jej domu, matką (**Virginia Madsen**) leżącą w łóżku całymi dniami i oglądającą telenowełe, z ojcem (**Robert De Niro**), którego wyrzuciła z domu kolejna „miłość” i przyrodnią siostrą, która „obrabia jej tyłek” nawet przy dzieciach. Na dodatek obcinają jej etat na lotnisku (pracuje w dziale reklamacji). Jedynym jasnym punktem w tej groteskowo dysfunkcyjnej rodzinie jest wierząca w genialność swojej wnuczki Mimi (**Diane Ladd**), która jest wszechwiedzącą narratorką opowieści.

Narracja zresztą nie przebiega tu linearnie, pełno w niej dygresji, wspomnień czy snów, ale konstrukcja fabuły bynajmniej nie utrudnia widzowi śledzenia akcji. Jedynym mankamentem jest dość rozbudowana ekspozycja – około 40 minut zajmuje reżyserowi zawiązanie akcji – właśnie przez mnożenie różnego rodzaju mikroscenek, które wprawdzie wnoszą sporo do charakterystyki głównej bohaterki i są zabawne, ale nie podkreślają akcji, rozpraszają nieco siłę historii. Dzięki specyficznemu humorowi i świetnym kreacjom aktorskim (De Niro po raz kolejny, po „Poradniku pozytywnego myślenia” idealnie sprawdza się jako zakręcony ojciec, a Lawrence po raz kolejny potrafi wykreować sympatyczną i silną zarazem postać, którą widzowie szybko zaczynają lubić) ta przedłużona ekspozycja wcale się jednak nie dłuży, a po zawiązaniu akcji (wynalazek "magicznego mopa"), wyraźnie przyspiesza.

Od tego momentu bez reszty dajemy się wciągnąć historii o spełnieniu amerykańskiego snu, stając się tym samym niejako odbiciem filmowej matki, która ogląda telenowełe o nieosiągalnym dla niej życiu wyższych sfer (surrealistyczne sceny rodem z *Mody na sukces*, o mnichu który porwał jedną z bohaterek, potem okazał się księciem, o zaginionych od dawna synach, cudownie odnalezionych kochankach itd.). Bo czymże innym jest dla nas historia o Joy Mangano? Krzepi serca, pokazując, że wszystko jest możliwe, a talent i upór przewyżczą trudności. Historia ta, choć "z życia wzięta", ma coś z baśni, w której bohater po pokonaniu szeregu niebezpieczeństw i prób, otrzymuje w nagrodę królestwo. Dzięki niej możemy wierzyć, że – podobnie jak opisywane w filmie cykady – jesteśmy tylko uśpionymi geniuszami, wynalazcami, artystami, że nasze marzenia i plany odłożyliśmy tylko nieco na później. Że po 17 latach – jak cykady – wypełniemy spod ziemi na powierzchnię i wzniesiemy się do lotu.

Natasza Gorzołka

PS: To ostatni moment, żeby zobaczyć "Joy" na dużym ekranie – dziś o 19:45 ostatni seans w Kinie Piast w Cieszynie.

